

Moja Ameryka

Światło budzące się dnia leniwie pieściło policzek Wandy.

Nie chciała się obudzić, nie chciała powracać do rzeczywistości. Szczelniej nakryła się kocem pachnącym spalenizną, na króym w ciągu dnia prasowała koszule, a który nocą służył jako okrycie. Mocniej zacisnęła powieki chcąc przez moment oszukać realia i w myślach przytuliła się do swoich dzieci. Przed oczami stanęły obrazy kochanych twarzyczek. Poczowała ból fizyczny i wilgoć na policzku. Błyskawicznie usiadła na posłaniu. - Nie, nie teraz. Nie mogę się roztkliwiać. Pracodawcy nie lubią patrzeć na smutną twarz gosposi przygotowującej śniadanie – skarciła się w myślach.

To samo powiedziała jej agentka z biura zatrudnienia, która za pierwszą tygodniówkę poszukała Wandzie pracę u właścicieli kilku sklepów jubilerskich w centrum Chicago. W drodze na tzw. "interview" wyposażyła również przyszłą „housekeeper” w długą listę praktycznych wskazówek typu: bez sprzeciwu wykonuj wszystkie polecenia, zawsze się uśmiechaj, rób więcej niż do Ciebie należy, nie korzystaj z telefonu gospodarzy, nie maluj się by nie wzbudzić zazdrości pani domu... Długą, długą listę Wanda skrupulatnie zakodowała w pamięci. Ta więc znalazła się w Winetce, północnej dzielnicy Chicago.. Mijał szósty tydzień pracy. Wanda błyskawicznie złożyła „łóżko”, którym był stary materac i schowała je wraz z „pościelą” do szafy. Kilka minut spędziła w łazience i pospiesznie zeszła do kuchni. Zparzyła kawę, nakryła do stołu i przygotowała butelkę mleka dla rocznego Babi. Potem usmażyła naleśniki, jajecznicę na boczku, pokroiła banany, przygotowała i spakowała lunch dla domowników. Kiedy uporała się z tymi obowiązkami, pobiegła na piętro obudzić dwoje starszych dzieci. Pomogła się im umyć, ubrać, przypilnowała by zjadły śniadanie, wypili sok pomarańczowy, przełknęły witaminy, zapakowały do tornistrów książki, zeszyty i drugie śniadanie. Potem następował powrót do sypialni najmłodszego z domowników, zmiana pieluchy, ubranie malucha i wreszcie wymarsz w kierunku przystanku autobusowego, z którego odjeżdżała do szkoły dwójka starszego rodzeństwa.

Wanda pomachała im na pożegnanie, ujęła Babiego za rączkę i ze ślimaczą prędkością ruszyła w stronę willi. Cieszyła się z faktu, że chłopiec niezbyt sobie radzi ze sztuką chodzenia; zyskiwała przez to na czasie. Zdawała sobie bowiem sprawę, że po powrocie do domu, w którym pracowała, nie znajdzie minuty na odpoczynek aż do późnych godzin wieczornych.

Przestępując próg, usłyszała wołanie pracodawcy. – „Wanda, Wanda, przynieś mi natychmiast papier toaletowy!” W pierwszej chwili nie zorientowała się skąd dochodzi głos, dopiero po chwili to do niej dotarło. Posadziła malca na dywanie, wyjęła z szafy dwie rolki i pobiegła na górę. Drzwi prowadzące do łazienki pokrytej marmurem były otwarte na oścież. Mężczyzna siedział na sedesie z wyciągniętą przed siebie ręką i coś bełkotał. Z wyrazu jego twarzy mogła wyczytać, że nie było to nic miłego. Udając, że nie widzi jego opuszczonych spodni, ani tłustych ud, z zamachem rzuciła papierem. Pierwsza rolka minęła cel o kilka centymetrów, druga trafiła w dziesiątkę. Mężczyzna zaklął siarczyście i trzasnął drzwiami. Wanda uśmiechnęła się, wybąkała słowa przeprosin i zbiegła do dziecka. – Dla twojego taty nie jestem nawet kobietą...jestem nikim..., a jak „nikt” może kochać i troszczyć się o Ciebie i twoje rodzeństwo? – zapytała Babiego biorąc go w ramiona. Chłopiec z ufnością przytulił się do niej. Poczowała gładkość i ciepło jego policzka.

Dobrze, że jesteś. Tobie mogę opowiedzieć o moim smutku i tęsknocie. Tobie mogę przeczytać listy od dzieci i opowiedzieć ich ulubione bajki. Ciebie mogę ukołysać do snu tonami polskich kołysanek...Jak dobrze, że jesteś mój mały, jak dobrze, że jesteś – wyszeptała tuląc się do chłopca.

W tej pozycji zastała ich Anna, matka dziecka. Ubrana w obcisłą skózaną spódnicę, czerwony sweterek gęsto nabijany cekinami i szpilki ze skóry krokodyla podeszła do siedzących na podłodze. Wzięła synka na ręce i delikatnie pocałowała kosmyk włosów uważając by nie naruszyć makijażu, którego wykonanie zajęło jej cały poranek. Potem włączyła telewizor, posadziła malca przed szklanym ekranem i sięgnęła po aparat telefoniczny by zgodnie z codzienną tradycją wykonać kilkanaście rozmów ze znajomymi i członkami rodziny. Siadając w olbrzymim w skózanym fotelu zwróciła się do Wandy:

- No idź już, idź. Czekają na ciebie koszule do prasowania. Potem jak zwykle zrób pranie i posprzątaj w domu. Jak skończysz, pójdz z Babim do parku, a w drodze powrotnej odbierz dzieci z przystanku autobusowego. Na obiad przygotuj kurczki z ryżem i fasolę. To wszystko. Idź już, idź. Mam ważne telefony do wykonania.-

Wanda bez słowa udała się do sypialni mieszczących się na pierwszym pietrze. Pościeliła łóżka, pochowała rozrzuconą odzież i pozbierała z podłóg mokre ręczniki. Potem zeszła na parter, nastawiła pranie i powróciła na górę niosąc odkurzacz. W lewej kieszeni jej fartucha tkwiła butelka niezastąpionego „windexu,” w prawej kilka czystych ściereczek. Czynności wycierania luster i odkurzania dywanów powtarzała codziennie. Pani domu nie znosiła bowiem widoku udeptanego włosia wykładzin i odcisków palców na lustrach. Czasami, gdy nikogo nie było w pobliżu Wanda rekompensowała sobie kaprysy właścicielki domu wycierając szyby jej nocnymi koszulami. Biegała góra – dół, między pralką a suszarką. Miedzy fioletowo – białą sypialnią państwa, różowo – białą sypialnią ich córki, błękitno – białą sypialnią Babiego, zielono – białą sypialnią drugiego z chłopców i trzema łazienkami, których ściany pokrywały marmury oczywiście białego koloru oraz dziesiątki luster.

Pokój Wandy był bezbarwny. Na podłodze leżała szara wykładzina. Pod oknem przysłoniętym starym prześcieradłem stała toaletka, a na niej kiczowata lampka w postaci tancerki trzymającej abażur. Po przeciwległej ścianie znajdowało się krzesło i mały stolik. Te kilka metrów kwadratowych były dla niej najmiłym pomieszczeniem w tym domu. Kiedy pozmywała naczynia, wykapała dzieci i ułożyła do snu najmłodsze z rodzeństwa, mogła wrócić do „siebie”. Brała gorący prysznic, kładła się na „łóżu” i marzyła. Ileż to razy obiecała sobie, że jeszcze tydzień i porzuci tę pracę... Ileż razy płakała do poduszki... Ileż razy leżała apatycznie modląc się o siły do dalszego przetrwania. Nie ilość obowiązków ją tak przerażała. Tutaj wszystko było wręcz łatwe i proste. Nie musiała wystawać w kolejkach za towarem, nie dźwigała siatek z zakupami, nie prała i nie gotowała pieluch, nie przecierała soczków i jarzynek dla dziecka, nie suszyła prania na kaloryferach. Wykańczała ją tęsknota za własnymi dziećmi. Wykańczało odizolowanie od świata i ludzi. Wykańczał brak szacunku ze strony domowników, którzy na każdym kroku przypominali Wandzie jej pozycję w tym domu. W momentach największego załamania wyjmowała z walizki misternie rzeźbione pudełko. Otwierała je i zaczynała liczyć. „Była bogata”. W ciągu tygodnia zarabiała więcej niż przez pół roku pracując jako sekretarka wojewody w jednym z wojewódzkich miast w Polsce. Trzymając w palcach zielone banknoty przysięgała sobie, że wytrwa pół roku i wróci do dzieci w kraju.

Sytuacja w jakiej się znalazła po rozwodzie, zmusiła ją do opuszczenia ojczyzny.

W Stanach Zjednoczonych postanowiła podreperować zrujnowane nerwy i ...konto bankowe. Potrzebowała pieniędzy na spłacenie długów exmałżonka. Marzyła o wykupieniu mieszkania ze spółdzielni mieszkaniowej, o prezentach dla dzieci i wspaniałych z nimi wakacjach.

Te myśli zawsze dodawały jej siły. Przeliczała po raz wtóry zarobione dolary, całowała zdjęcia swoich dzieci i zasypiała.

Mijały dni, mijały tygodnie. Rosła tęsknota, rosło konto, ubywało spokoju wewnętrznego i wagi ciała. Nie mogła się odnaleźć na tej obcej ziemi. Nie mogła zrozumieć mentalności ludzi, u których pracowała, nie mogła zrozumieć mentalności znajomych, z którymi spotykała się czasem w niedzielne popołudnia. W kraju, który widziała przez szyby samochodu, mówiło się najczęściej o pieniądzach, zakupach, przecenach i procentach. Bez przerwy przeliczano wartość dolara na złotówki i odwrotnie. Przez pierwsze miesiące postępowała podobnie. Czuła się bowiem winna, że ma pod ręką wszystko o czym nie śniło się ludziom w Polsce. Czuła się winna, że stać ją na zakup egzotycznych owoców, czekolady, aromatycznej kawy i innych towarów do niedawna przydzielanych w ojczyźnie na kartki. Biegała do K-Mart, Aldi i innych popularnych sklepów. Szykowała paczki i wysyłała je przez biuro Polameru. Z utęsknieniem czekała na niedziele, kiedy to mogła opuścić na dziesięć godzin swoje miejsce pracy. Z czasem i te przepustki przestały ją cieszyć. Wyczuwała, że jest ciężarem dla znajomych. Wyczuwała też, że zazdrości jej zarobków. Próbowała wynagradzać im kłopot kupując benzynę do samochodu, prezenty dla ich syna, pomagając w pracach domowych. Pewnego dnia koleżanka oświadczyła:

- „Nie gniewaj się Wandziu, ale musisz sobie radzić sama. Ty odkładasz więcej pieniędzy niż my oboje z mężem, poza tym jestem bardzo zmęczona i brak mi czasu „,-

Wanda nie miała do niej żalu. Rozumiała ją i zgadzała się z jej odczuciami. Będąc w jej sytuacji, pewnie myślałaby podobnie. Wiedziała, że znajoma w ciągu dnia pracuje w fabryce, wieczorem sprząta biura, a w soboty opiekuje się kalekim mężczyzną. Miała więc prawo być zmęczona i nie mieć ochoty oglądać jej każdego weekendu.

W popularnej na Poloni gazecie: „Dzienniku Związkowym” znalazła adres biura w którym zrobiła prawajazdy. Odpowiedziała też na kilka ogłoszeń typu: „z powodu wyjazdu tanio sprzedam samochód”. Po miesiącu stała się dumnym posiadaczem własnego środka lokomocji i amerykańskiego prawajazdy. Nie przeszkadzał jej fakt, że tylne drzwi samochodu dla pewności przywiązane były gumą od majtek. Nie zniechęcał brak klimatyzacji, ani odrapana powierzchnia „Mustanga”. Miała swoje auto i czuła się wolna. Gospodarze zobaczywszy jej nowy nabytek zażyczyli sobie, aby parkowała za domem. Wyczuła wręcz złość, że nie zapytała ich o pozwolenie na zakup rzeczy, która szpeciła ich posiadłość.

W pewną niedzielę uzbrojona w mapy, rozmówki i słownik wyruszyła na podbój Ameryki. Jadąc drogą wzdłuż jeziora podziwiała piękne posiadłości otoczone bajecznymi ogrodami. Z bólem serca patrzyła na roześmiane dzieci bawiące się z rodzicami. Z zazdrością przyglądała się ludziom odpoczywającym w parkach na wypielegnowanej trawie, na której nikt nie umieścił tabliczki z napisem „nie deptać trawników”. W jej sercu wzrastało uczucie bólu i tęsknoty; rodził się też bunt i rozgoryczenie.

– „Czy fakt narodzin człowieka w innej szerokości geograficznej jest dostateczną przeszkodą aby nie pragnąć czegoś więcej niż ma się w tej chwili... Czy moje dzieci nie mają prawa żyć w wolnym kraju, zdobyć w nim wykształcenia i pracować za godziwe wynagrodzenie ?” – Te i dziesiątki innych pytań cisnęły się jej na usta.

W jednej z kawiarenek na migi zamówiła olbrzymią porcję lodów. Patrząc na kolorową górę zamrożonych słodkości myślała o swoich dzieciach i radości jaką im sprawiała gdy czasem udało jej się kupić „Bambino”. Uścisk w gardle pozbawił ją apetytu. Trzymała w ręce lody i patrzyła jak powoli spływają lepкими strużkami. Nagle wstała, wrzuciła deser do kosza i pewnym krokiem wyszła z pomieszczenia.

– „Chcę tego wszystkiego! Chcę tego dla moich dzieci i wnuków!” – powiedziała głośno, po Polsku wywołując zdziwienie na twarzach przechodniów.

Następnego dnia przeprowadziła rozmowę z pracodawcami. Zgodzili się, że raz w tygodniu będzie mogła uczęszczać na wieczorowe kursy języka angielskiego. Odciągnęli jej oczywiście część pieniędzy od wypłaty, lecz fakt ten nie miał dla niej większego znaczenia. Podjęła decyzję pozostania w tym kraju, sprowadzenia dzieci i dania im możliwości lepszego jutra. Znała siebie. Nic nie było w stanie powstrzymać jej od realizacji tego planu. Kilka tygodni później, kiedy polerowała lustra, do łazienki wszedł pan domu. Uśmiechając się oblesnie przyparł ją swoim tłustym ciałem do zimnej, marmurowej ściany.

Instynktownie sięgnęła po butelkę „windexu” i spryskała nim twarz mężczyzny.

Rozwścieczony, uderzył ją rozcinając górną wargę. Poczowała smak krwi. Popatrzyła na niego z pogardą, splunęła na posadzkę i wybiegła z pomieszczenia. Spakowanie rzeczy zajęło jej pięć minut. Z walizką w jednej ręce i drewnianym pudełkiem w drugiej, opuściła posiadłość jubilerów. Nie pożegnała się nawet z ich dziećmi i nie upomniała o zaległą wypłatę. Rzuciła walizkę na tylne siedzenie auta i ostro ruszyła przed siebie. Kiedy ponownie zadzwoniła do agentki w sprawie pracy, usłyszała pod swoim adresem stertę gróźb i wyzwisk za kradzież, której się ponoć dopuściła i która była powodem wyrzucenia jej z posady. Dwa dni przespała w samochodzie, potem wynajęła pokój w obskórnym motelu. Po dwóch tygodniach znalazła pracę u Amerykanów. U nich pracowała pięć dni w tygodniu. W weekendy dorabiała jako kelnerka w sali bankietowej. Tam poznała Toma. Amerykanin polskiego pochodzenia za sumę sześciu tysięcy dolarów zjawił się w urzędzie stanu cywilnego, gdzie wzięli fikcyjny ślub. Miała szczęście. Mężczyzna należał do typu „uczciwych mężów”. Skrupulatnie wypełniał wszystkie aplikacje, stawiał się na rozmowy w biurze emigracyjnym, nie szantażował jej, nie podnosił ceny za „usługę”. Po dwóch latach razem witali na lotnisku jej dzieci.

Dwadzieścia pięć lat później w Wigilię 2009 roku, Wanda krzątała się w obszernej, luksusowej kuchni w domu należącym do jej syna Sławka. W kominku palił się ogień, z głośników dochodziły melodie polskich kolęd. W powietrzu unosił się zapach kapusty z grzybami i smażonej skórki pomarańczowej. Podekscytowane wnuki chichotały przy choince nie mogąc doczekać się otwarcia prezentów.

– Mamo, pomogę Ci – odezwała się córka Maria całując matkę w policzek.

– Dobrze kochanie. Pozanoś wszystkie półmiski do jadalni. Zaraz zaczniemy wiesz – To mówiąc sięgnęła po opłatek i dołączyła do reszty rodziny.

Podczas kolacji z miłością patrzyła na swoje dzieci. Była z nich dumna. Oboje skończyli studia, oboje założyli rodziny. Mieszkali w pięknych domach, jeździli nowymi samochodami, często podróżowali po świecie. Nagle Wanda rozplakała się.

– Mamo, mamo, dlaczego płaczesz? – zapytał Sławek obejmując ją ramieniem.

– Nic takiego synku. To łzy szczęścia, kochany. Tak sobie tylko przypomniałam, te nasze pierwsze „Gwiazdki” spędzone w małym piwnicznym mieszkaniu, plastikowe naczynia po mrożonych obiadach i obrus kupiony za bezcen. Przypomniałam sobie powroty z fabryki, zmęczenie i ból kręgosłupa. Przypomniałam sobie smutek, kiedy szedłeś synku w

w mrozie rozładowywać wagony... Przypomniam sobie strach o ciebie córeczko kiedy nocą wracałaś z biblioteki, bo nie stać mnie było na zakup komputera....

– Mamo, ale to się już skończyło, to przeszłość, to już nie wróci. – wtrąciła córka.

– Powiedz mi proszę, gdybyś miała przeżyć to wszystko jeszcze raz: czas okrutnej rozłąki, lata ciężkiej pracy....czy zrobiłabyś to samo? – zapytała.

Wanda zamyśliła się. Popatrzyła na światła choinki, potem przeniosła wzrok na twarz najmłodszego z wnuków.

– Wyjechałam z Polski będąc młodą, samotną matką i studentką trzeciego roku zaocznych studiów. Opuściłam luksusowy gabinet swojego szefa i ciepłą posadę. Tu, na tej ziemi, zmywałam naczynia w restauracji, sprzątałam cudze domy, nańczyłam cudze dzieci.

Pracowałam w fabryce, obrabiałam silniki do samochodów, nosiłam drabiny jako pomocnik elektryka. Byłam też kelnerką, barmanką, menagerem dużej pizzerii i właścicielem firmy kontraktorskiej. Nie to było w tym wszystkim najtrudniejsze.

Najbardziej obawiałam się o to by w pogoni za „dolarem” nie zatracić w sobie „człowieka”. Najbardziej bałam się o to, że z braku czasu nie potrafię nauczyć was co naprawdę w życiu jest najważniejsze. Nie o te mury mi chodziło, nie o luksusy tego pomieszczenia, ale o zachowanie zdrowego balansu.

Czy mi się to udało to co zamierzałam? Chyba tak. Czy ponownie przesłabym po tej samej ścieżce życia? Tak, zdecydowanie tak! – to mówiąc Wanda sięgnęła po kieliszek by wnieść toast.

– Wesołych Świąt kochani! -